

spotkał się w Polsce z b. żoną na pogrzebie jej ojca i pochwalił się, „patrz, jestem lekarzem”, a ona na to, „ty zawsze byłeś niepoważny”. Nie zrozumiała, że to ona jest sprawcą jego dyplomu i tak naprawdę, to ona była „niepoważna”, kiedy z artysty chciała zrobić rzemieślnika.

W Nowym Jorku wziąłem parę razy udział w spotkaniach Instytutu Sztuki i Nauki, jeszcze w jego starym pomieszczeniu. Podczas konferencji z okazji 100-letniej rocznicy urodzin naszego wybitnego matematyka Wacława Sierpińskiego, poznałem jego syna, synową i szalenie atrakcyjną wnuczkę. Poznałem także legendarnego współautora amerykańskiej bomby wodorowej prof. Stanisława Ulama, który wygłosił bardzo sympatyczne wspomnienie o swym wielkim koledze.

Podczas innych spotkań zasmucił mnie brak osoby charyzmatycznej, która by porwała i integrowała nasze środowisko, w którym każdy kręcił się wokół swojej osi. Ponieważ wiele publikowałem w „Nowym Dzienniku”, więc raz zaprosił mnie na kolację sam Bolesław Wierzbiański i Hieronim Wyszyński, ten pierwszy to legendarny jego redaktor naczelny, a ten drugi to szef kombatanów, którzy chcieli zobaczyć jak wygląda „polski komputer”.

Oczywiście wziąłem parę razy udział w demonstracjach przed PRL-owskim konsulem i rezydencją Olega Trojanowskiego, sowieckiego ambasadora przy ONZ, w Glenn Cove. Na tych demonstracjach spotykałem się z Ireną Lasotą, animatorką tych demonstracji. Brałem także udział w audycjach Głosu Ameryki i Wolnej Europy, ale o tym wspomnę w następnym rozdziale.

Tak oto wygląda w większym skrócie przeciętne życie towarzyskie polskich emigrantów w Stanach Zjednoczonych, którzy raczej nie nudzą się, bowiem, ciągle wiją swoje kolejne gniazda i stale mają nad czym dyskutować i o co się martwić, czyli o Polskę. To dzięki tym dyskusjom i martwieniu się, wzmacniała się wola na pokonanie komunizmu w Polsce, która w efekcie zwyciężyła. Nie wspominam tu moich politycznych i zawodowych kontaktów oraz projektów, o których będę pisał w następnych rozdziałach. Zdaję sobie również sprawę, że w innych polonijnych środowiskach życie towarzyskie może toczyć się nieco inaczej.

Dzieci

Jak dotąd praktyka uczy, że pierwsze pokolenie emigrantów jest zawsze stracone. Dopiero trzecie pokolenie wychodziło na powierzchnię amerykańskiego życia pełną parą. W naszym przypadku, mieliśmy z żoną dobre wykształcenie i dobrą praktykę zawodową, a ja nawet nieźle znałem angielski, więc daliśmy sobie radę i w związku z tym naszym dzieciom, a nie wnukom powinno się powieść.

Staś skończył informatykę (*computer science*) na moim uniwersytecie, ale ponieważ było to na początku naszej emigracyjnej epopei (żona jeszcze nie pracowała), więc musiał sobie trochę dorabiać. Wkrótce sprowadził z Polski swoją

pierwszą sympatię no i wdał się w kłopoty. Uczył się i pracował na trzech stanowiskach; był asystentem w klasach informatyki, pracował w dziekanacie przy kserografii i rozwoził po domach pizzę. Wszystko to robił, by utrzymać siebie i swą sympatię Joasię Puciata, z którą wkrótce się ożenił. Niestety nie ma miłych wspomnień ze studiów, kiedy pracował ponad siły, a szkoda, bo to powinien być najprzyjemniejszy okres w życiu. Staś zawsze miał wybitne zdolności do matematyki, więc obecnie w informatyce daje sobie świetnie radę. Z Kalamazoo młodzi wynieśli się do Chicago, gdzie w firmie Hewlett jest kierownikiem działu oprogramowania i zarabia prawie 100 tys. dol. rocznie, jak na 30-to latka to wcale nieźle, zwłaszcza, że Joasia skończyła marketing na uniwersytecie i też nieźle zarabia. Dorobili się dwóch pięknych synów; Julka i Marcela oraz wygodnego domu 8-pokojowego z kuchnią i werandą, w dobrej dzielnicy na północ od centrum Chicago. Wszystko jest jeszcze przed nimi, o ile tylko to dostrzegą i nie zmarnują tego co mają.

Agnieszka, córka żony a moja pasierbica, skończyła geofizykę na prestiżowej uczelni *Colorado School of Mines*. Jednak nie wyszła za mąż za żadnego tamtejszego studenta, wśród których pełno było dzieci potentatów naftowych, którzy na miejscowym lotnisku trzymali swoje samoloty, by na weekend wyskoczyć do domu, który np. był w Norwegii. Na magisterskie studia wyjechała do Paryża. Agnieszka była i jest wciąż bardzo atrakcyjną kobietą, która zbyt dbała o figurę i dlatego żyła na diecie, która często składała się z plasterka ananasa na dzień. Niestety obniżyła swój system immunologiczny i zapadła na raka ziarnicę. Zasiadła i znalazła się w paryskim szpitalu, gdzie chciano ją zoperować. Mama-lekarz wołała zabrać córkę do Stanów, gdzie medycyna jest na najwyższym poziomie. Agnieszka przyleciała do domu z dwoma dużymi igłami wbitymi w nerki, aby je wypróżnić, bowiem normalne przewody były zablokowane. W Kalamazoo poradzono, aby operację przeprowadzić w klinice Mayo w mieście Rochester w stanie Minnesota. Jest to sławna klinika, gdzie pacjenci przyjeżdżają z całego świata z najcięższymi przypadkami i gdzie jest „tylko” 50 stołów operacyjnych, zajętych od rana do wieczora.

Agnieszka przeszła 6-cio godzinną operację, podczas której m.in. zastosowano tymczasowy odpływ moczu z boku brzucha. Po powrocie do Kalamazoo córka została poddana intensywnej chemioterapii, która zniszczyła resztki rakowych komórek. Agnieszka musiała raz jeszcze pojechać do Mayo na drugą operację, też kilkugodzinną, aby zrekonstruować przewód moczowy i przywrócić go na właściwe miejsce. Obecnie jest w długiej i pozytywnej remisji, czyli jest zdrowa.

Agnieszka bardzo cierpiała i bardzo dzielnie zniosła trudy swej choroby, w której o krok była od śmierci. Po wyzdrowieniu postanowiła cieszyć się każdym przeżytym dniem. Wróciła do Francji, gdzie wyszła za mąż za francuskiego inżyniera Pierre'a Quderque. Następnie wróciła do Polski, będącej już III RP, gdzie założyła firmę „Quderque-Kubas” wówczas pierwszą w Polsce, pośredniczącą w wynajmowaniu powierzchni biurowych komercyjnym firmom zagranicznym i nie tylko. Młodzi zatrudnili 35 osób i wynajęli na swoją firmę pier-

wsze piętro w Hotelu Europejskim. Po 1989 r. do Polski walili drzwiami i oknami zagraniczni inwestorzy, których ta nowa firma lokowała w wiecznie brakującej powierzchni. Interes szedł świetnie, aż rozpadł się na dwie firmy w 1999 r. ponieważ małżeństwo też się podzieliło i nie było już w nim „wspólników”. Agnieszka nie może mieć dzieci i nie wywiązała się, jak kiedyś Maria Walewska, a nasz współczesny „Napoleon” nie musiał się nawet dobrze rozglądać w Polsce, aby spłodzić dziecię i znaleźć nową partnerkę życia. Osobiście żałujemy rozvodu, bowiem Pierre pochodził z bardzo sympatycznej rodziny; matki Collette (nauczycielki) i ojca Francois (inżyniera), którzy mieszkają w historycznym mieście Avignon. Z Francois odbyłem bardzo ciekawą rozmowę, w jego pięknym mieście, na temat II wojny światowej. Powiedział mi, „Andre, my nie lubimy mówić o tej wojnie, myśmy popierali Petaina i rząd w Vichy”. Pomyślałem sobie, „mądrzy Francuzi, nie stracili przynajmniej 6 milionów obywateli”.

Biznesowy sukces Agnieszki bierze się z faktu, że władza biegle polskim, angielskim, francuskim, hiszpańskim, nieźle daje sobie radę w rosyjskim i potrafi się nawet porozumieć po ...chińsku. Ponadto wykształcona w Stanach, wie na czym polega biznes, trzeba być twórczym, ciężko pracować i być twardym w negocjacjach. Ale biznes, który stworzyła zaczyna ją powoli nudzić, więc maluje i pisze nowelki dla dzieci oraz finansuje produkcję filmów dla TV Polonia. Malarstwa uczy ją świetny malarz Jerzy Mierzejewski. Problem z utalentowanymi wszechstronnie dziećmi jest taki, że nie potrafią się skupić na jednym zainteresowaniu i realizować go dobrze, aby dojść do mistrzostwa. Zobaczymy kiedy Agnieszka posiędzie umiejętność rezygnowania z nadmiaru zainteresowań i stanie się prawdziwą mistrzynią sztuki lub biznesu.

Nasza najmłodsza pociecha Jacek, z angielska zwany John najlepiej z nas mówi po angielsku, ponieważ od przedszkola aż po uniwersytet mówi poza domem tylko po angielsku. Jak większość dzieci imigrantów miał nam za złe, że mówimy po angielsku z polskim akcentem. Gdy miał 5 lat pytał się nas „dlaczego jesteśmy Polakami, a nie Anglikami”. Tak bardzo chciał nie różnić się od rówieśników. Potem mu to przeszło. Na uniwersytecie w Ann Arbor zapisał się do Kongresu Polonii Amerykańskiej, nic nam o tym nie mówiąc, a nawet zorganizował kółko studentów polskiego pochodzenia. Wziął nawet klasy na temat polskiego filmu. Zaczął bardzo chętnie jeździć do Polski, gdzie ma siostrę, z którą mają wiele sobie do powiedzenia. W 1996 r. zwiedził z moim przyjacielem Zygmuntem Łuczakiem Oświęcim, a w następnym roku zabrał do Polski swojego szkolnego kolegę Steva Britigana, któremu pokazał Oświęcim. W dwa lata potem znów wziął do Polski swego przyjaciela Billa Showa, którego taksówką zawiózł też do Oświęcimia. Jest to miejsce, w którym jego dziadek Stanisław cudem uniknął śmierci. W późniejszych swych felietonach w studenckiej prasie często powraca do swoich korzeni. Lubi pokazywać Polskę swym amerykańskim kolegom do tego stopnia, że Bill po powrocie z Polski powiedział, że był to jego najprzyjemniej spędzony czas w życiu. Trudno jest zgubić polską duszę nawet, gdy się mówi łamaną polszczyzną.

W dniu 20 marca 1991 r. była prawdziwie wiosenna pogoda, toteż chłopcy po powrocie ze szkoły zaczęli zjeżdżać na boczku po linie, którą rozwiesili między dwoma drzewami. Coś na wzór gier gladiatorów w telewizji. Jacek wyrwał się do jazdy pierwszy, zarzucił nogi na linę i po cyrkowemu zaczął zjeżdżać w dół. Przez zimę zmęźniał i nie utrzymał ciężaru swego ciała, spadł z 7 metrów wysokości na krzyż, który sobie złamał. Chirurdzy złączyli prętami kręgi, ale nerwy nie zrosły się, także Jacuś ma sparaliżowane nogi (T10/11) i porusza się na wózku. W 14-tym roku swego chłopięcego wieku zaczęło się jego zmaganie z kalectwem. Rozpacz nasza była i jest przeogromna, którą nasz syn rozjaśnia swą dzielną postawą. Po wyjściu ze szpitala odbył kurację rehabilitacyjną, aby nauczyć się funkcjonowania na wózku i bez własnych sprawnych nóg. Natychmiast kupiliśmy mu komputerowy system elektrycznego stymulowania mięśni, co wymagało, abym go co tydzień zawoził na rehabilitację do Instytutu w Chicago. Nauczono tam Jacka... chodzenia przy pomocy owego systemu, może przejść do jednej mili dziennie, aczkolwiek system nie zastępuje wózka. Dzięki temu nie ma zaników mięśniowych i jest gotowy na leczenie, kiedy takowe zostanie opalone, co ma nastąpić wkrótce. Jest sparaliżowanym człowiekiem, który chyba w całym świecie najlepiej chodzi.

Ponieważ tak dobrze chodzi, firma *Sigmatics*, która produkuje ów system (w cenie 16 tys. dol.) zaprasza Jacka do pokazów na kursach, w szpitalach, a nawet za granicą, gdzie sam dojeżdża. W złamaniu kręgosłupa najgorszy problem jest z przerwaniem rdzenia, który zabliźnia się i blizna nie przepuszcza impulsów nerwowych z głowy do nóg. W USA rocznie 10 tys. ludzi ulega wypadkom, w których zostają sparaliżowani, w sumie wszystkich sparaliżowanych jest ok. pół miliona. W 1997 r. zleciał z konia „Superman”, aktor Christopher Reed, który tak fatalnie spadł, że został sparaliżowany od samej szyi w dół. Ten dzielny człowiek i znana osobistość spowodował zbieranie i dopływ funduszy na badania jak odwrócić skutki paraliżu. W kilku ośrodkach na świecie przeprowadzono już pozytywne próby łączenia stosu pacierzowego u zwierząt. Jest to tylko kwestia czasu, kiedy zaczną się próby na ludziach. Wierzymy, że Jacek będzie jeszcze chodził, zwłaszcza, że dzięki swemu systemowi i uporowi w ćwiczeniach nie ma atrofii mięśni u nóg.

Wobec Jacka stosujemy strategię jak najaktywniejszego zaangażowania go w różnych czynnościach życia, aby czuł się przydatny. Jeździmy z nim w góry Colorado, gdzie Jacek śmiga na specjalnej nartcie (nie sankach) szybciej od nas i w sezonie łamie po kilka nart, bowiem wciąż lubi skakać po muldach. Ponieważ kiedyś świetnie jeździł na swych zdrowych nogach, także zna dobrze mechanizm jazdy na nartach i w nowej sytuacji daje sobie tak dobrze radę, że zaproponowano mu jeżdżenie w reprezentacji USA w kategorii niepełnosprawnych sportowców. Żeby przyjąć propozycję musielibyśmy przeprowadzić się w góry i finansować Jacka treningi, na co nie możemy sobie pozwolić, mimo naszych niezłych zarobków. Jacek także nieźle gra w tenisa, w której to grze ma prawo odbić piłkę z drugiego kozła. Jest to sport dość popularny wśród amery-

kańskich wózkowiczów, ale na kortach twardych, które tu na szczęście dominują. Jacek także świetnie nurkuje, co praktykuje na rafach kolarowych m.in. w Australii. Dzielna Mama musiała też nauczyć się nurkowania, aby synowi towarzyszyć w jego ekskapadach po morskich głębinach, czegoż nie robi dla dziecka kochająca matka?

Oczywiście Jacek ma swój samochód, którym sam objechał pół Ameryki w 1999 r. (poprzez Michigan, Kolorado, Teksas i Kalifornię), kiedy zwiedzał poszczególne uniwersytety, gdzie przyjęto go na studia prawnicze. W samochodzie tym ma specjalne urządzenie do kierowania samymi rękami. Do auta wsiada i wysiada bardzo szybko, rozłożenie lub złożenie wózka (bardzo lekkiego) zabiera mu ok. 40 sekund. W tej sytuacji koledzy traktują go za pełnosprawnego i nie dają mu odczuć jego sytuacji. Zresztą Jacek sam się uważa za pełnosprawnego, gimnastykuje się regularnie także bardzo ładnie rozwinął swoją muskulaturę, może się podobać dziewczętom i umawia się na randki z atrakcyjnymi koleżankami. Oczywiście dziewczętom, na szczęście, nie tyle podoba się jego sprawność, co czytanie i poczucie humoru oraz obeznanie świata. Jacek zwiedził z nami „pół świata” w tym chyba całą Północną Amerykę, zna nieźle Francję i jej piękny język.

Ponieważ Jacek zamierza być adwokatem, musiał najpierw skończyć 4-letnie studia przygotowujące do prawa, (*prelaw*) na świetnym *University of Michigan* (w specjalizacji nauk politycznych), a potem dostał się na prawo w równie świetnym *University of California* w Los Angeles, gdzie studia prawnicze trwają 3 lata. W sumie, aby zostać prawnikiem w Stanach, trzeba studiować 7 lat. Podobna struktura kształcenia ma miejsce w przypadku studiów medycznych, po których trzeba jeszcze odbyć paroletnią rezydenturę. Nie bez powodu oba zawody cieszą się najwyższym statusem społecznym w Ameryce, poparte najlepszymi zarobkami. Studiuje się długo, ale za to, to się potem opłaca. Koszt tego typu studiów na najlepszych uczelniach szacuję, że kształtuje się na łącznym poziomie 200 tys. dol., czyli trzeba zarobić ok. 300 tys. dol., aby jeszcze zapłacić podatki. W Polsce tego typu wymagania odnośnie posiadania pierwszego fakultetu, mają miejsce tylko w przypadku studiów w zakresie reżyserii filmowej, choć ich koszt jest nieporównywalnie niższy. Jacek ma zdecydowane poglądy, jak w tym wieku przystało, często bardzo idealistyczne, ale co ważniejsze jest dla mnie, dzieli się z nimi w swych felietonach w studenckich gazetach. Jest on trzecią generacją w naszej rodzinie, która para się piórem, miejmy nadzieję, że każda następna generacja naszych „pisarzy” będzie lepsza od poprzedniej.

Jak widać Jacek jest pełnosprawnym obywatelem, co w Ameryce jest poparte bardzo zdecydowaną polityką państwową. W 1995 r. weszła ustawa, która gwarantuje łatwy dostęp dla niepełnosprawnych w miejscach publicznych, czyli w szkołach, uczelniach, miejscach pracy, w kinach, teatrach, stadionach, w restauracjach, czy transporcie publicznym. Nie zagwarantowanie odpowiednich ramp przez gospodarzy obiektów i pojazdów jest karane grzywną do 50 tys., dol. W tym prawie do równości wyraża się duch amerykańskiej demokracji, która

popiera równe szanse dla wszystkich. W Europie, zwłaszcza w Polsce, polityka ta jest dopiero w powijakach.

W związku z wypadkiem Jacka, zaprojektowaliśmy dom z szerokimi drzwiami i bez progów, a także z poręczną windą, aby synowi ułatwić życie. Nie muszę szeroko rozwodzić się, jak ciężkie choroby dzieci odbiły się na naszych samopoczuciach, zwłaszcza na psychice ich matki, która będąc lekarzem, wie „za dużo” i nieraz martwi się „na wyrost”.

Podróże

W PRL podróżowanie za granicę było jakby przywilejem, bowiem nie tylko że nie było nas na nie stać, ale najtrudniej było dostać paszport, a także wizy. Tak więc dla mnie najprzyjemniejszym miejscem było i jest lotnisko, bowiem wiąże mi się z wolnością poruszania się i z możliwością wyfrunęcia z naszego socjalistycznego baraku. Nic dziwnego, że po zamieszkaniu w USA zachłysnęliśmy się wolnością podróżowania, zwłaszcza za granicę. Dużo Polaków zna nieźle Europę ale już prawie nie znamy Azji i Oceanii. Ja i żona wykorzystujemy moje akademickie kontakty, które pozwoliły nam zwiedzić Płd. Koreę, Japonię, N. Zelandię, Australię, Chiny z Hong Kongiem, no i oczywiście Karaiby i Kanadę. W niektórych z tych wyjazdów brali udział synowie. Jacek i Staś.

Kiedy chodziłem do szkoły, Azja kojarzyła się z biedą, teraz po *boomie* lat 80. Azja kojarzy się z szybkim rozwojem. Rozwój ten jest świetnie widoczny w krajach praktykujących demokrację i gospodarkę rynkową. W Korei zauważyłem, że Koreańczycy mają podobne usposobienie do Polaków, są bardzo patriotyczni, na pograniczu nacjonalizmu, bardzo pracowici i ambitni. Podobnie jak my mają swoich wrogów, których upatrują w Japończykach i Chińczykach, którzy ich często okupowali. Koreańczycy podobnie, jak my bardzo dużo piją wódki, w licznych barach, stawianych nawet pod namiotami na rogach ulic...na jezdniach. Wódką jest wprawdzie dwa razy słabsza od polskiej, ale gdy się ją dwa razy więcej wypije, to odnosi ten sam skutek. Bardzo mi smakuje kuchnia koreańska, pełna wyszukanych przypraw i delikatnych potraw, z których pikantna kapusta „*kimcz*” odgrywa rolę naszych kartofli. Natomiast Koreanki przypominają mi Francuski, są albo piękne albo przeciętne, za to wszystkie uwielbiają ubierać się w modne ciuszki. I starannie malować się. Studentki przychodzą na wykłady wprost, jak by szły na party. Niestety kobiety w Azji są wciąż dyskryminowane, np. w Korei kobieta musi bezkrytycznie słuchać się ojca, brata i męża. Kiedy podczas mojego wykładu chciałem zachęcić słuchaczki do „buntu”, tłumaczący mnie kolega po cichu powiedział mi: „nie martw się, w domu one rządzą”. A więc nic nowego.

Japonia została opisana już dość dokładnie na wszystkie sposoby. Nam zaimponowała czystością środowiska, kultem natury (*szinto*) i istic szwajcarską organizacją, która wyraża się w świetnym miejskim transporcie, a także kolejowym, z ich sławnymi superszybkimi pociągami, jakże wygodnymi i czystymi. Ich

„Kraków” czyli ponad 1000-letnia b. stolica Kioto to istna perła kultury. Jakże dobrze się stało, że pewien amerykański oficer, będący w cywilu profesorem historii, nie dopuścił do zbombardowania tego miasta przez lotnictwo amerykańskie podczas II wojny światowej. Podobnie można dziękować sowieckiemu marszałkowi Koniewowi, że nie rozkazał zniszczyć naszego Krakowa. Szczęśliwie podobnie niemiecki generał nie wykonał rozkazu Hitlera i nie zniszczył Paryża. A więc można jeszcze liczyć na humanizm wśród wojskowych. W Kioto zrozumiałem na czym polega istota japońskiej kultury, która osadza się na trzech kantonach: spokój, prostota i harmonia. Rzeczywiście ich pałace i ogrody, sztuki teatralne (*Kabuki*), a nawet procedura picia herbaty, najlepiej odzwierciedlają owe zasady. Tak wspaniałych stoisk spożywczych nie spotkałem nigdzie, nawet we Francji. Wszędzie widać młode, ślicznie umundurowane dziewczyny, które kłaniają się przy wsiadaniu do windy czy autobusu. W Zachodniej kulturze ich praca wydawałaby się zbędna, tutaj jest ona wyrazem troski o pełne zatrudnienie. Lepiej niech „kłaniają się”, aniżeli miałyby siedzieć w domu i nudzić się albo co gorzej robić coś niewłaściwego. Japończycy są niezmiernie uprzejmi wobec siebie, co wyraża się w długim kiwaniu głowami do siebie podczas kłaniania się. Oczywiście ten wewnętrzny wizerunek nie odpowiada ich agresji do podbijanych krajów, gdzie byli bardzo bezwzględni. Mało kto pamięta, że podczas II wojny światowej Japończycy zamordowali od 15 do 20 milionów Chińczyków. Po wojnie swą agresję wyrażają w ekspansji gospodarczej, zawojowując ekonomicznie wiele krajów. Ostatnio kraje te, w tym Stany Zjednoczone, przejrzały japońską strategię i bronią się coraz skuteczniej przed nią, czego wynikiem jest zastój gospodarczy w Japonii w dekadzie lat 90.

Po upadku Związku Radzieckiego w 1991 r. Chiny zrozumiały, że muszą dać obywatelom swobodę w biznesie, za cenę akceptowania bezdyskusyjnej władzy partii komunistycznej. Chiny, gdzie pojechałem w 1999 r. ze swoimi studentami i żoną, zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Oczywiście z punktu widzenia, jak można by było zreformować b. PRL, a czego nigdy dobrze nie przeprowadzono. Poszukiwanie taniej siły roboczej przez Zachód znalazło swe ujście w podzleceniu produkcji Chinom, które stały się „robotem” Zachodu i Japonii. W ten sposób Państwo Środka pozyskało duże fundusze, które wydaje na rozbudowę miast i... zbrojenia. W miastach powstają piękne i solidne wieżowce, które tylko mogą marzyć się Polakom. Przypuszczam, że w miastach Chińczycy żyją nie dużo gorzej od Polaków, a na pewno lepiej od Rosjan i Hindusów. Jest to wielki sukces, zważywszy, jak trudno ruszyć z biedy ten miliardowy naród. Jednak, wbrew wielu opiniom, uważam, że Chiny nie staną się największym rynkiem zbytu w XXI w. Wyprzedzi je jednocząca się Ameryka, a potem z nią Europa, co doprowadzi do zjednoczenia gospodarczego w postaci wolnego rynku Zachodniej Cywilizacji. Liczba konsumentów w naszej cywilizacji przekroczy wówczas liczbę konsumentów w Chinach! Zresztą przewiduję, że kiedy Chińczycy osiągną dochód 5.000 dol. na głowę (wg. cen lokalnego koszyka z 1985 r.), a nastąpić to może już ok. 2010 r., wtedy zaczną się poważne społeczne niepokoje, jakie

w 1980 r. miały miejsce w Polsce, no i oczywiście reżim niedemokratycznego kapitalizmu może skończyć się. Co potem? Militarna ekspansja czy demokratyczny kapitalizm zwycięży? Cokolwiek nastąpi, moim skromnym zdaniem, spowoduje zmniejszenie tempa rozwoju gospodarczego Chin. Paradoks komunizmu polega na tym, że im szybciej rozwija się poziom życia tym szybciej się samolikwiduje. Z bardziej przyziemnych spraw, wolę raczej zamerykanizowaną, chińską kuchnię aniżeli jej oryginalne wykonanie, zwłaszcza, gdy jest serwowane mięso niewiadomego pochodzenia.

Hong Kong uzmysłowił mnie do czego może dojść wolny Chińczyk. Czy rzeczywiście leży w interesie Zachodniej Cywilizacji rozwój gospodarczy Chin? Czy starczy surowców dla nas wszystkich?

Jeżeli jest raj na Ziemi to miejscem tym być może jest Nowa Zelandia. Dzięki gościnności mojego przyjaciela informatyka z Polski, prof. dr. Lecha Janczewskiego byliśmy z żoną i Jackiem gośćmi Uniwersytetu w Auckland. Świetny klimat wyspy sprawia, że chce się żyć. Zupełny brak drapieżników spowodował, że ptak Kiwi stracił skrzydła, bowiem nie musiał uciekać przed głodnymi orłami czy jastrzębiami. Aczkolwiek rodowici mieszkańcy wyspy, Maorysi nie byli pozbawieni apetytu, jednak koncentrowali się na spożywaniu rówieśników. Przypłynęli tu z Polinezji, kiedy oceany były jeszcze bardzo płytkie. Nic dziwnego, że ich muzyka przypomina sławne hawajskie „ukulele”. Pomimo, że wyspa jest na „końcu” świata, akcenty polskie są tu dość mocne. Zaraz po wojnie N. Zelandia zaprosiła do siebie kilkaset polskich sierot z obozów w Indiach i Afryce, dokąd przywędrowały po wydostaniu się z Sowietów. Akcja ta jest mocno zaznaczona w miejscowym muzeum. Nawet podczas mojego publicznego wykładu dla kilkuset słuchaczy z Towarzystwa Informatycznego, wykład pewnie się spodobał, skoro jego prezes powiedział, że jego wuj walczył wraz z dzielnymi Polakami pod Monte Cassino. Ścisnęło mnie w gardle, kiedy temat zmienił się z informatyki w wojenny. Przypomniałem wtedy tym młodym słuchaczom cele bitwy i jej przebieg.⁵ Jacek też dał publiczny wykład w szkole, wyjaśniając amerykańską politykę wobec niepełnosprawnych, demonstrując przy tym swój system chodzenia, czym wprowadził w osłupienie swych słuchaczy. W miejscowym klubie rozegrałem mecz tenisowy, zapoznawszy się z tamtejszą kulturą tenisową, która wydała nawet finalistów turnieju Wimbledońskiego.

Prof. Lech Janczewski, jak przystało na polskiego informatyka, zorganizował studia polskie na swym uniwersytecie, co tylko przysporzyło mu potem pewne kłopoty, w jak zwykle zawistnym polskim środowisku. Razem z Lechem bardzo czynnie działamy w Stowarzyszeniu Kierowania Informacyjnymi Zasobami (Information Resource Management Association — IRMA), co roku spotykając się na międzynarodowych konwencjach. Lech ostatnio został wyróżniony nagrodą

⁵ Wbrew temu, co czasem sądzi się, że bitwa pod Monte Cassino (11-18 maj 1944) była niepotrzebna, faktyczny jej cel, jak i całej akcji militarnej Aljantów we Włoszech było zaabsorbowanie niemieckich sił na Południu Europy, aby je odciągnąć z północy i ułatwić inwazję (6 czerwca 1944 r.) przez Kanał La Manche w Normandii.

za swój wkład w rozwój IRMA. Gościł mnie w swoim domu, w którego ogrodzie rosną...cytryny i pomarańcze. Żona Lecha, Halinka przypominała mi informatykę z Ministerstwa Przemysłu Maszynowego, gdzie pracowała, a syn Piotruś przypominał mi Jacka, równie zdolnego i ciekawego życia chłopaka.

N. Zelandczycy bardzo lubią swą piękną naturę, prawie każdy z nich ma zagłówkę, na której spędza „pół życia”. Dlatego chyba nie mają czasu na kulturę, co niestety wyraża się w braku orkiestr symfonicznych, rozwiniętych teatrów, a nawet dużych sal widowiskowych, gdzie by mogły występować zagraniczne zespoły. Dziwny to raj. Chociaż, gdy Lechowi zaproponowałem lepiej płatne stanowisko profesora na moim uniwersytecie, odmówił. Coś w tym raju jednak musi być.

Z Nowej Zelandii jest już tylko krok do Australii, gdzie m.in. miałem wykład na *Sydney Politechnic*. Australia przypomina połączenie Stanów Zjednoczonych z Europą. Jest więc to bardzo korzystna mieszanka cywilizacyjna, kto wie czy nie najlepsza. Szkoda tylko, że tak daleko. Poziom życia jest podobny do Kanady, z tym, że jest tu lepszy klimat. W Sydney zwróciłem uwagę na pomnik ku pamięci Australijczyków, którzy podczas II wojny światowej płynęli 3 miesiące do Europy i którzy po wylądowaniu w Grecji zostali momentalnie zabici przez Niemców. Co za poświęcenie i co za koniec.

O ile w przeszłości Australia była bardzo hermetyczna dla emigrantów i dostać się do niej ludziom było tak samo trudno jak koniom i psom. Teraz z uwagi na postęp gospodarczy Azji, Australia nie może ignorować Azjatów, których coraz więcej wchłania do swojego kraju, licząc na rozwój handlu z krajami ich pochodzenia. Przeciętny Australijczyk nie interesuje się za bardzo tym, co się dzieje w świecie. Kiedy byliśmy w tym kraju, w nagłówkach gazet dominował temat „dlaczego modelki mają rozmiar nr 6, podczas gdy przeciętna Australijka ma rozmiar 10 lub 12?”. Drugim tematem był romans gwiazdy rugby, który się go mocno wypierał. Dostrzegłem w tym różnicę między amerykańską kulturą, w której gwiazda sportu byłaby raczej dumna z takiego romansu.

Piękna australijska przyroda jest dokładnie opisana i sfilmowana. Na mnie duże wrażenie zrobiło Sydney, które chyba jest jednym z trzech najpiękniejszych miast świata (dwa inne to moim zdaniem San Francisco i Paryż). Wystarczy powiedzieć, że fiordy w tym mieście mają linię brzegową dłuższą od polskiego Bałtyku (300 km.), zabudowaną pięknymi domami. Po Sydney oprowadzał nas dr Jacek Olszewski ze swą żoną Anką, w Polsce był kierownikiem Zakładu Systemu Operacyjnego w Instytucie Maszyn Matematycznych. Świat jest mały i polscy informatycy zawsze się odnajdą. Razem zjedliśmy *lunch* w restauracji, przy jednej z najpiękniejszych plaż świata Bondi. W Sydney, z kolei żona była na wielkim kongresie lekarskim, co dało nam szansę uczestniczenia w jego bogatym programie kulturalnym i zakwaterowanie w luksusowym hotelu. Potem Jacek z żoną polecieli w głąb lądu, gdzie objechali na wynajętych (tak dla fasonu) motocyklach Harleyach-Davidson wielką, Czerwoną Skalę (*Red Rock*), przedmiot kultu Aborygenów i wysłuchali ich pięknego koncertu na wielkich fujarkach, połączonego z obejrzeniem wspaniałych ekspresyjnych tańców. Muzy-

ka ich stanowi jakby novum w światowej muzyce i przedostaje się nawet do sal koncertowych. W sławnej Operze obejrzelśmy nawet balet nowoczesny oparty na motywach sztuki Aborygenów. Uskrzydłony gmach tej opery okazał się za mały dla wystawienia musicalu *Phantom of the Opera*, Andrew Webera, który obejrzelśmy w innym teatrze w centrum miasta. Potem Jacek z Mamą poleciał do Cairns, gdzie nurkował w przepięknych rafach koralowych i gdzie pływał na szczęście wśród niegłodnych rekinów. Ja tymczasem wróciłem do Waszyngtonu na kongres IRM Association. Zanim wyjechaliśmy z tego pięknego kraju, byliśmy goszczeni przez Andrzeja Szozdę i jego żonę Teresę z Gdańska, zaimportowaną jakby z filmu „Żona dla Australijczyka”. Poznaliśmy ich w Kioto. Andrzej przyjechał tu z ojcem-oficerem zaraz po wojnie i inwestuje w nieruchomości, w tym również w Polsce. Bardzo narzeka na Azjatów, którzy manipulują cenami, przez co rynek został zestabilizowany i trudno jest przewidzieć jego zachowanie, a co za tym idzie liczyć na zarobek. Biznesman zawsze musi się o coś martwić, niezależnie od szerokości geograficznej.

Australia pod względem kulturalnym jest zaprzeczeniem Nowej Zelandii. Według opinii moich przyjaciół lekarzy Danki Loesche i jej męża Bohdana Midzewskiego, Paryżem Południa jest Melbourne, czyżby dlatego, że tam mieszkają? Niedawno sprowadzili do siebie siostrzenicę Konstancję, która może by mogła być moją córką, bowiem kiedyś zalecałem się do jej mamy-Krystyny Lesz. Parę lat temu, australijski konsul odmówił Konstancji wizy wjazdowej argumentując, że jest za ładna i że szybko wyjdzie za mąż. Co za frajer. Następny konsul już nie był tak głupi i moja niedoszła córka przyjechała do cioci, która naturalnie momentalnie wydała ją za mąż. Oczywiście polskich akcentów w Australii jest dużo, poczynając od dorobku badawczego Strzeleckiego i najwyższej góry nazwanej imieniem naszego bohatera Kościuszki, po emigrację wojenną, z której wyrosło wielu znanych profesorów, aż po solidarnościową emigrację z bardem Jackiem Kaczmarskim na czele. Ja jednak wolę mieszkać w Ameryce, która steruje rozwojem światowej cywilizacji i jakby jest pępkiem świata, chociaż kiedyś (lata 1950 i 1960.) i Australia była pępkiem świata, ale tylko w tenisie.

Nie wiem czy podróże do Kanady można uznać za podróże zagraniczne. Bo to jakby skok przez miedzę. Z Kalamazoo do Toronto samochodem jedzie się tylko 6 godzin i nieraz dwa razy do roku bywam w Toronto u naszych przyjaciół (przyszywanej rodziny) Wojtka i Iki Żurowskich. Wojtek jest ojcem chrzestnym Jacka. Z kolei oni też często nas odwiedzają. W Toronto mam niezłe kontakty polityczne, kilku dobrych przyjaciół oraz publikuję felieton w Nowym Kurierze, o czym będę szerzej pisał w następnym rozdziale. Dzięki Wojtkom poznałem wiele polskich domów w Toronto, w którym mieszka kilkadziesiąt tysięcy polskich emigrantów. Bardziej niż w Stanach żyją oni w swoim getcie, do czego zachęca bardzo liberalna polityka etniczna Kanady. Moim zdaniem mogąca doprowadzić do zdeintegrowania tego ponoć najlepszego w świecie do życia kraju. Tak przynajmniej wynika z raportu Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Kanada przypomina Stany, ale tempo życia w niej jest wolniejsze, bardziej zeu-

ropeizowane i chyba z lepszą jakością życia. Zarobki w Kanadzie stanowią 60 proc. zarobków w USA, a ceny w USA stanowią 60 proc. cen kanadyjskich. Wynikałoby, że poziom życia w Kanadzie jest co najmniej o połowę niższy niż w USA. I rzeczywiście, przeciętny dom w Stanach ma już trzy garaże, a w Kanadzie jeszcze jeden. Ale czy jest to prawdziwą miarą jakości życia? Okazuje się, że pomimo niższych dochodów i wyższych cen, Kanada góruje nad USA jakością życia. Myślę, że jest to dobry przykład dla Polaków, którzy teraz po 1989 r. szybko dorabiają się na modłę Zachodu i w tym pędzie do dobrobytu, zapominają, co jest ważne w życiu!

Rodzina Żurowskich jest świetnym przykładem losu polskiego emigranta z PRL. Najpierw wyrwali się z PRL do Kuwejt, gdzie Wojtek-chirurg operował Arabów, a Ika informatyzowała administrację tego przebogatego państwa. W Stanie Wojennym emigrowali do Kanady, która ich bardzo chętnie przygarnęła. Z tym, że na tym skończyła się rola państwa. Wojtek, już nie młody, przeszedł bardzo trudny proces nostryfikowania dyplomu lekarskiego, połączony z odbywaniem rezydentury w prawie bezludnej północno-wschodniej prowincji, tam gdzie diabeł mówi dobranoc. Inaczej innej by nie dostał. Przez kilka lat dom ich był rozbity, a Ika praktycznie finansowała utrzymanie rodziny. Z Polski wyniosła dobrą znajomość oprogramowania IBM, więc w Toronto została wziętym konsultantem. Wojtek wrócił z tarczą do Toronto i rozpoczął własną praktykę lekarską, stawiając rodzinę mocno na nogi. Z racji swej pozycji i swego uroczego charakteru, Wojtek jest duszą polskiego środowiska w Toronto. Start ich dzieci już był znacznie prostszy. Syn Mateusz zdał świetnie na medycynę i bez żadnych trudności otrzymał rezydenturę w samym Toronto. Może dlatego, że zdobywał mistrzostwa Kanady w wioślarstwie? Wspaniały chłopak, który będzie świetnym lekarzem, psychiatrą, inżynierem ludzkiego mózgu, organu, który sobie najbardziej cenimy, a z którym mamy tyle kłopotów. Joasia-córka skończyła równie dobrze teatrologię, zamiłowanie, które ma po dziadku Jerzym Jasieńskim, ale musi co innego robić, bowiem nie jest już arystokratką, jak jej babcia Krystyna z hr. Łęskich.

O czym się mówi i dyskutuje w domu u Żurowskich? Nie o Kanadzie, a o Wilnie i Warszawie, dokąd nawet dzieci regularnie jeżdżą. Trudno jest zgubić polską duszę, nawet w tak pięknej Kanadzie. Będąc profesjonalistami, Żurowscy rozumieją, że trzeba także udzielać się społecznie. Stąd Wojtek przewodniczy Polskiemu Towarzystwu Muzycznemu, a Ika udziela się w tym samym towarzystwie i w licznych organizacjach charytatywnych. W dniu 4 marca 2000 r. w mieszkaniu Żurowskich zawiązał się Komitet na rzecz wyboru Z. Brzezińskiego na prezydenta III RP w wyborach w 2000 r.

W Toronto miałem szalenie interesujące spotkanie z malarzami Ewą i Jurkiem Kołacz, na którym dyskutowaliśmy zastosowanie mojej „Drabiny Semantycznej” do koncepcji obrazu malarskiego⁶. Przecież malarstwo jest formą ko-

⁶ Blizsze omówienie „Drabiny Semantycznej” czytelnik znajdzie w rozdziale 12.

munikowania informacji i także podlega teorii informacji i komunikacji. Ewa i Jurek od razu podchwycili moją ideę i nawet Jurek zaprosił mnie do wygłoszenia wykładu na ten temat w Koledżu Sztuk Pięknych, gdzie wykłada. Jurek według czasopisma „*Communication World*” zalicza się do pierwszej 10-tki najbardziej wziętych ilustratorów na świecie. W tej dziesiątce są jeszcze tacy polscy graficy jak Rafał Olbiński i Janusz Kapusta z Nowego Jorku. Miałem duże szczęście, bowiem okładka do mojej książki „*Chwilowy koniec historii*” wyszła spod ręki R. Olbińskiego. Natomiast Janusz Kapusta ilustrował moje felietony w miesięczniku „*Zarządzanie*” w Polsce i w „*Nowym Dzienniku*” w Nowym Jorku.

Podróże służą mi w poznawaniu współczesnej cywilizacji, którą jakby nie było, wykładam. W moich klasach na uniwersytecie mam studentów średnio z 5 krajów, których cywilizację warto znać, aby mieć punkt odniesienia w dyskusjach w klasie. Student jest moim klientem, którego środowisko powinienem znać.

* * *

W niniejszym rozdziale czytelnik znajdzie bardzo mocne akcenty polskie. Zatem może narodzić się pytanie, jaki jest mój stosunek do Stanów Zjednoczonych, gdzie żyję i gdzie już spędziłem połowę swego zawodowego życia. W tym względzie kieruję się zasadą, że do Polski mam stosunek jak do „matki”, a do Stanów Zjednoczonych mam stosunek jak do „żony”. W obu przypadkach trzeba być lojalnym, z tym, że w innym odcieniu. Jestem dumny, że podróżuję po świecie z amerykańskim paszportem i że mogę amerykańskim studentom przekazać moje doświadczenie jako amerykański profesor. Świat zawdzięcza Stanom Zjednoczonym demokrację i obronę przed komunizmem i nazizmem. Dzięki USA Polska została przyjęta do NATO, czyli wróciła na łono Zachodu. Dzięki Stanom, moja rodzina wyszła z kryzysu i nieźle prosperuje. Dlatego, co dobrego robiłem, czy robię dla Polski, myślę, że było i jest dobre dla USA i vice versa. O tym będę szerzej pisał dalej.

11. Od informatyki do polityki i historii

Krytyczna dekada lat 80.

Moja emigracja zaczęła się na początku dekady lat 80., którą nazwałbym Dekadą Krytyczną dla świata, ponieważ w tym czasie został obalony komunizm. W sierpniu 1980 r. powstał niezależny związek zawodowy Solidarność, który rozpoczął strajk w Gdańskiej Stoczni. W sierpniu też przyjechaliśmy z Meksyku do Stanów Zjednoczonych już na stałe. Codziennie w amerykańskim dzienniku telewizyjnym oglądaliśmy sceny ze strajkującej Polski, o której było głośno w prasie i w prywatnych rozmowach.

Wypadki w Polsce i regularne reportaże w mediach zainteresowały przeciętnych Amerykanów tym, co się dzieje za Żelazną Kurtyną, a tym samym zmobilizowały amerykańską politykę na rzecz Polski. USA to jakby Rzym III,⁷ bardzo dużo krajów zabiega o to, by Amerykanie zainteresowali się ich sprawami i pomogli rozwiązać ich problemy. Kraje te trzymają wysoko opłacanych lobbystów w Waszyngtonie, którzy starają się zająć uwagę amerykańskich polityków sprawami swoich państw. Dzieje się tak wbrew często wyrażanej opinii, że Amerykanie wtrącają się zbyt mocno w nie swoje sprawy. Tak naprawdę, Amerykanów trzeba do tego zmuszać, ponieważ najchętniej zajęli by się tylko swoimi problemami i nie tracili energii ani pieniędzy na politykę zagraniczną. Nawiązuję tu do silnych tendencji w amerykańskiej polityce do izolacjonizmu. Jednak dwie wojny światowe w XX w. zmusiły Amerykę do interwencji i dwukrotnego pokonania Niemiec, inaczej bowiem Niemcy zagroziłyby bytowi Stanów Zjednoczonych. Odtąd USA przeszły od koncepcji polityki obrony do polityki bezpieczeństwa, która polega na tym, że „obrona jest ostatecznością”, i że najpierw trzeba tak pokierować interesami w polityce światowej, aby nigdy do owej „obrony” nie doszło.

Po raz pierwszy termin „bezpieczeństwo narodowe” został zastosowany w 1947 r, kiedy prezydent Harry Truman podpisał akt w sprawie „Bezpieczeństwa Narodowego”. Akt ten dostrzegał „narodowe bezpieczeństwo” w kontekście „światowego bezpieczeństwa”. W ten sposób zadanie „obrony” zostało rozszerzone o zadanie utrzymania „światowego bezpieczeństwa” (Doktryna Trumana).

Po pokonaniu Niemiec i Japonii ta nowa idea bezpieczeństwa Ameryki zdyskredytowała politykę izolacjonizmu i odtąd zaangażowała USA w problemy światowego bezpieczeństwa. Dowodem na to była polityka powstrzymywania komunizmu w świecie w formie Zimnej Wojny. Idea „obrony” zakłada tylko powstrzymanie obcej agresji na własne terytorium, natomiast idea „bezpieczeństwa” oznacza aktywność polityczną poza własnym terytorium w celu antycypowania zagrożenia choćby tylko potencjalnego. Mocarstwo regionalne

⁷ Rzym I — Cesarstwo Rzymskie, Rzym II — Bizancjum.